

Krystyna Janda: Nie wchodzi w rachubę, żeby ktoś mnie zobaczył reagującą w niekontrolowany sposób, mówiącą rzeczy nieprzemyślane, używającą wulgarnych słów, czy, broń Boże, pijaną

Co mnie tak w życiu gna?

— Na co może wpływać wpływała kobieta? Pytam, bo dwukrotnie znalazła się Pani wśród najbardziej wpływowych kobiet w kraju.

— Nie wiem. Mam dużo rzeczy niezrealizowanych i nie jest mi łatwo przekonać ludzi do moich pomysłów. Ani moje nazwisko, ani te rzekome wpływy mi nie pomagają. Pewnie chodzi o to, że osoby publiczne są obecne w mediach, a ponieważ nie ma tych osób tak znowu wiele, zmuszone są wypowiadać się na tematy ogólne.

— Myślałam, że bycie wpływową kobietą ułatwia życie?

— Nie ma żadnego znaczenia. Muszę uważać na to, co mówię i robię. Nie wchodzi w rachubę, żeby ktoś mnie zobaczył reagującą w niekontrolowany sposób, mówiącą rzeczy nieprzemyślane, używającą wulgarnych słów, czy, broń Boże, pijaną.

— Można się przyzwyczaić do ciągle go licyta pod obserwacją?

— Mnie to nie męczy, bo nie piję, nie używam wulgaryzmów i nie tracę nad sobą panowania. Jestem mniej więcej kulturalną osobą. Ale są ludzie, których to męczy.

— Doliczyłam się u Pani ponad 30 prestiżowych nagród, w tym Specjalnej Złotej Kaczki — nagrody dla najlepszej aktorki w historii polskiego kina.

— Ja za wszelkimi rankingami i plebiscytami nie przepadam, ale nagrody przyznawane przez publiczność bardzo sobie cenię. To była właśnie taka nagroda, zwyciężyłam w plebiscyście czytelników. Bardzo się cieszyłam z Lwów Gdańskich. Ale dostałam je dopiero po

odebraniu Złotej Palmy w Cannes za rolę żeńską w filmie „Przesłuchanie”. Dostałam wiele nagród na świecie za rolę wcześniej tutaj niezauważoną lub „nie lubianą” przez krytykę. W każdym razie nagrodę Złote Lwy Gdańskie dostałam za ro-

lę w „Przesłuchaniu” z dopiskiem znamienym dla mnie: „i za wszystkie role, za które wcześniej nie mogła pani dostać nagrody...”

— Gwiazda to według mnie kobieta otoczona wianuszkami służby, wozona limuzyną, mieszkająca w warty grube miliony w ekskluzywnym dzielnicy... Czy coś z tych cech pasuje do Pani wizerunku?

— Mieszkam

tam dłużej lub krócej. Ale zawsze dom jest pełen, nawet jeśli nas z mężem tam nie ma. Stworzenie takiego domu było dla nas miłą, ale jednak koniecznością. Wychowanie trojga dzieci, wnucząt, hodowanie zwierząt — to wszystko wymaga opieki. To dom, który jest potrzebny wielu osobom, m.in. naszym samotnym przyjaciołom. To dom gościnny i otwarty.

— Jest Pani bardzo zabiegana. Jak Pani kilkunastoletni synowie znoszą taką nieobecność?

— Myślę, że generalnie spędzam z moimi dziećmi więcej czasu niż przeciętna matka. Dlatego, że codzienne obowiązki domowe zdjęli mi z głowy inni — mama, gospośka, często mąż. Wyjeżdżamy z synami na długie, bo miesięczne wakacje i na narty zimą. I to są święte terminy, bardzo ich strzeżemy oboje z mężem. Synami opiekuje się głównie moja mama, często przyjeżdżają moja siostra i najstarsza córka. To jest życie dużej rodziny. Takiej, na którą zawsze można liczyć. Zawsze. Ja też w dzieciństwie chowałam się u babci, moi rodzice zaczęli wtedy w Warszawie — było bosko, zajmowano się mną, wszyscy mieli dla mnie czas, jedna ciotka brała mnie na spacer, inna do kina — byłam zawsze otoczona uwagą i serdecznością.

— Większość ludzi stawia sen na pierwszym miejscu wśród życiowych przyjemności. A Pani nie znosi spać.

— Uwielbiam spać, ale budzę się wcześniej rano, nie jak

gwiazda z wyobrażeń. Ale nie śpię krócej niż górniczy, hutniczy i rolniczy, którzy idą do pracy na szóstą, więc nie ma o czym mówić. Zresztą prawdziwe gwiazdy, kiedy zaczynają dzień zdjęciowy o godz. 6, o piątej biegają lub są na siłowni.

— Żona, matka, babcia. Aktorka filmowa i teatralna, reżyserka, producentka, pisarka, która na dodatek śpiewa. A teraz jeszcze niemal codziennie prowadzi Pani w Internecie dziennik. Co Panią tak gna?

— Przepraszam. Ciągłe się usprawiedliwiam i wszystkich przepraszam, że tyle rzeczy robię, tyle mnie interesuje, że mam tyle talentów (śmiech). Zresztą, jak podaje prasa i często mówi o mnie środowisko, tak dużo robię i gram, bo... jestem pracowita i tyle.

— A nie nudzi się Pani codziennie otwarzając ten sam tekst?

— Nie, bo rola rośnie razem z mną. Shirley Valentine zagrałam 500 razy przez 12 lat. Przez te lata stałam się innym człowiekiem. Uprawiam zawód świadomie. Do przekazania jest tylko konstrukcja, temat główny i treść, a środki wyrazu się zmieniają.

— Czuje Pani, kiedy publiczność odbiera Panią dobrze, a kiedy źle?

— Owszem. Po pierwsze, kupuje bilety, a z tym są dzisiaj problemy. Po drugie, nawet jak ludzie nic nie mówią, to po ich oddechach slychać jak reagują i co czują, czy się kręcą, czy niecierpliwia.

— Nie grywa Pani w telenowelach, nie grywa też łatwych ról, nie jest pani lwicą salonową. A jednak przez trzy lata z rzędu widzowie wybierali Panią najpopularniejszą aktorką roku. Za co ludzie Panią tak lubią?

— Za to, że niektórym ukradłam serce.

— A Pani sama siebie lubi?

— Gdybym siebie nie lubiła, nie mogłabym być aktorką i nie byłabym szczęśliwa. Trzeba się polubić, żeby żyć w harmonii ze sobą samym. Inaczej ten dysonans jest paraliżujący. Pewnie wiele rzeczy bym w sobie zmieniła, ale lubię wady — u siebie i u innych ludzi. A poza tym oceniam się surowo, staram się samą siebie wciąż wychowywać i trzymać w ryzach i zadowolona jestem z siebie tylko czasami... To bardzo ułatwia życie i stosunki z innymi.

— Emeryturę za jakieś 20 lat chce Pani spędzić w słonecznej Toskanii...

— Chciałabym, ale tak nie będzie, bo mnie na to nie stać. Mieszkanie w Toskanii, w moim ulubionym mieście nad morzem, w przeliczeniu na złotówki, kosztuje jakieś 3-5 milionów.

— Gdyby Pani w Zatoce Gdańskiej złapała złotą rybkę, to jakie miałaby pani do niej trzy życzenia?

— Żeby dzieci były szczęśliwe, żeby moja matka żyła jak najdłużej i żeby nic niespodziewanego się nie zdarzyło. Czyli wszystko to, na co ja nie mam wpływu.

Rozmawiała Beata JAJKOWSKA

